

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH

Rok VI

Gorzów n/W., niedziela, 29 lipca 1951 r.

Nr 27

O świadczeniu dobra

Sw. Mateusz 25, 31—46 ujawnia nam z czego będziemy sądzeni po śmierci i na Sądzie Ostatecznym. I ciekawą rzeczą jest, że o niczym innym Pan Jezus nie mówi, jak tylko o uczynkach miłosierdzia względem bliźnich, które mają tak bardzo i jedynie zaważyć na naszym zbawieniu lub potępieniu.

Jednak ludzkie miłosierdzie bywa bardzo różne i nie każde bywa zasługujące na niebo, dlatego Pan Jezus w kilku miejscach Pisma świętego poucza nas, jakie to miłosierdzie powinno być, by mogło wyjednać zmiłowanie Boże i otworzyć nam bramy niebieskie.

I tak czytamy u św. Mat. 6, 1: „Strzeżcie się, abyście sprawiedliwości waszej nie czynili przed ludźmi, abyście byli widziani od nich, bo inaczej zapłaty mieć nie będziecie u Ojca waszego, który jest w niebieszech”.

Był zwyczaj u Żydów jeszcze za czasów Chrystusa, że zbierano dobrowolne ofiary na rzecz ubogich po placach publicznych i bóżnicach i niestety, zdarzało się to i to dosyć często, że ludzie zobowiązywali się do wysokich świadczeń, których później nie dotrzymywali, ponieważ chodziło im głównie o to, by swoją dobroczynnością zdobyć uznanie ludzi i pierwsze miejsca w świątyniach. Otóż od takich „obłudnie pobożnych” roily się wprost ulice miasta i krąganki świątyni.

Niestety, chociaż te czasy są tak bardzo od nas odległe i nie było jeszcze wówczas kultury chrześcijańskiej, jednak jakże często dzisiejsza dobroczynność t. zw. „osób pobożnych” bywa podobną do tamtej. Jak często i dziś można spotkać w naszych kościołach parafialnych „wielkie dobrodziejki”, które starają się o to, by każdy ich czyn był jak najlepiej znany, podziwiany, uwielbiany i obowiązkowo dotarł do wiadomości Ks. Proboszcza i biada mu, o ile chociaż pierwszym miejscem w kościele nie wyróżni takiej dobrodziejki swojej parafii, lub nie złoży publicznego podziękowania. Biedne są takie dusze, bo już wzięły zapłatę swoją, a mogły wszak sobie wysłużyć niebo, bo nawet słomka podniesiona z miłości może zbawić duszę, jak mówi św. Teresa od Dzieciątka Jezus.

„Gdy tedy czynisz jałmużnę, nie trąb przed sobą, jako obłudnicy czynią w bóżnicach i po ulicach, aby byli czczeni od ludzi, zaprawdę powiadam: wzięli zapłatę swoją” Mat. 6, 2.

Wynika stąd, że nie sam czyn, lecz pobudka, t. zw. intencja dobrego czynu stanowi o jego wartości. A tak mało na ogół ludzie zwracają uwagi na pobudki swoich czynów. Idą za czysto naturalnym pociąganiem lub odruchem, jakże często kierując się jedynie miłością własną lub namiętnością i przez brak refleksji nie uszlachetniają swego postępowania.

Ponosimy przez to szkody niczym niepowetowane, bo sami siebie od razu kwitujemy, a wszak tak mało potrzeba: zrezygnować z chwały ludzkiej i uznania, a także z innych względów osobistych a zaufać całkowicie Miłosierdziu Bożemu, od którego otrzymamy napewno tyle ile się spodziewamy.

Oczywiście nie jest to tak łatwo szczególnie tym, co nie zwyczajni wchodzić w siebie i zdawać sprawę ze swoich czynów, a coś dopiero rozpoznać się w gmatwaniu pobudek czynów.

Często jest tak, że kieruje naszym miłosierdziem już nawet nie pragnienie uznania ludzkiego i chwały, ale bardziej materialna pobudka, jaką jest spodziewana wdzięczność ludzka, czy to w postaci materialnej, czy to w postaci usług, i powstaje taki swego rodzaju handelek dobroczynnością. Cieszymy się, że za swoje dobroczynności stokrotnie skorzystamy. Często takie rachuby zawodzą i oburzenie w takich wypadkach świadczy o tym, jaka intencja kierowała naszą dobroczynnością. A bywa nieraz i tak, że sami świadczymy dobro z pobudek wdzięczności za otrzymaną pomoc. Pobudka bezsprzecznie szlachetna, ale nie wystarczająca do zjednania Miłosierdzia Bożego i nagrody niebieskiej. A znowu kiedy indziej potrafimy zdobyć się na wielką ofiarność dla osób nam miłych i sympatycznych, a odmawiamy pomocy ludziom nam nie miłym — dowodzi to, że kierujemy



Panno Wsławiona

się jedynie naturalną sympatią a nie względem na Boga. Nie widzimy Chrystusa w tym bracie niemiłym, a widzimy tylko siebie ze swoją przyjemnością lub przykrością. Miło wszak jest wyświadczyć przysługę "komuś miłemu, kto w miły sposób okaże swą wdzięczność. A znowu kiedy indziej może kierować nami obawa przed zemistą ludzką i trudno wylczyć wszystkie możliwe pobudki naszych „dobrych“ czynów. A chodzi wszak tylko o jedno, by czynić dobro dlatego, że to jest nakaz Boży i by w bracie potrzebującym widzieć samego Chrystusa i dla Niego jedynie okazać dobroć tak, by tylko On wiedział i odczuł to, jako akt miłości z naszej strony. Czyż nie wspaniała jest rzecz służyć Bogu samemu w bliźnich i Boga samego mieć swoim dłużnikiem.

„A gdy ty czynisz jałmużnę, niechaj nie wie lewica twoja, co prawica twoja czyni, aby jałmużna twoja była w skrytości, a Ojciec twój, który widzi w skrytości, odda tobie“ (Mat. 6, 3—4).

Czyż nie zgadza się to, cośmy wyżej powiedzieli z powiedzeniem Pana Jezusa na Sądzie Ostatecznym (Mat. 25, 40). „Zaprawdę powiadam wam: cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili“. — A do innych powie: „Zaprawdę powiadam wam, cokolwiek nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnieście nie uczynili. I pójdą ci na mękę wieczną, a sprawiedliwi do żywota wiecznego“ (Mat. 25, 45—46).

Zwrócić tu należy uwagę na dwie rzeczy zwykle przeoczone, że: 1) **sprawiedliwymi** Pan nazywa tych, co w bliźnim widzą Chrystusa czyniąc mu dobrze, i że 2) nie wystarczy nie czynić złego bliźniemu np. nie krzywdzić w jakikolwiek sposób, nie zabijać itp., ale wyraźnie trzeba świadczyć dobro bliźnim, bo właśnie pominięcie zsyłanej (kazji przez Pana Boga już zasługuje na potępienie: „Łaknąłem a nie daliście mi jeść, pragnąłem, a nie daliście mi pić, byłem gościem, a nie przyjęliście mnie, nie-mocnym i w więzieniu, a nie nawiedziliście mnie“ (Mat. 25, 42—43).

Ludzie zwykle mówią: „wszak nie złego nikomu nie zrobiłem“. — To nie wystarczy na Sądzie Bożym. Należy zdać sprawę: ile dobrego wyświadczyłem, a ile możliwości do dobrego zostało pominiętych i opuszczonych. Ile razy został odepchnięty Pan Jezus zbliżający się do nas w postaci potrzebującego lub cierpiącego bliźniego? Według tego Pan Bóg i nam będzie świadczył miłosierdzie. Wyrównanie może być sprawne.

Jeżeli rozumiemy do głębi wypływającą stąd naukę o Mistycznym Ciele Chrystusa, to powinna się wytworzyć taka postawa duszy katolickiej, że będzie wdzięczna prawdziwie ubogiemu, który daje jej możliwość służyć samemu Chrystusowi, a tym samym daje jej możliwość zdobycia nagrody niebieskiej. Powinno więc zniknąć zło na świecie, a zapanować świadczenie wzajemne dobra.

SI. M. B.

Za darmo nic

Nic za darmo nam nie przychodzi i człowiek nie tylko że na wszystko co posiada pragnie, zapracować sobie musi, ale trzeba mu się nauczyć jak pracować należy, urabiając się do tego od najmłodszych lat. Każdy kto nie jest zaślepionym samolubem musi w sobie dostrzegać pewne braki i jeżeli pragnie się stać lepszym i mądrzejszym, jeżeli chce choć trochę szczęścia prawdziwego dla siebie zdobyć, powinien wiedzieć, że najczęściej jest to jego własna wina jeżeli go nie osiągnął. Może nie umiał być tak rozumny i tak dobrym, ażeby na szczęście zasłużył, ale, jeżeli jego serce bije żywym tętnem, a nadzieja i tęsknota jesz-

cze mu pierś podnoszą, jeżeli jeszcze wierzy w to, co było dlań ideałem dobra i piękna i ma w sobie dość siły aby ręce wyciągnąć, — jeszcze może sobie to wszystko zdobyć, tylko trzeba mu nauczyć się tego czego nie umiał; wyrobić w sobie moc, której nie posiadał.

Ale, czy każdy człowiek może się na to wszystko zdobyć? Tak! — można śmiało odpowiedzieć, trzeba tylko aby, poznał co jest w nim brakiem i nauczył się tego, czego nie umie, czyniąc to przeciwieństwem sił i zdolności swoich, na co już w wychowaniu dziecka, rodzicom pamiętać trzeba. Często rodzice ci przez miłość, przez gorące pragnienie wytworzenia swemu dziecku wyższego między ludźmi stanowiska, popychają je w stronę, gdzie mogłoby to osiągnąć, co jest dla nich celem pragnieniem dumy i pychy jedynie.

Obdarowania dane człowiekowi są rozmaite w stopniach i rodzajach swoich, lecz każda istota ludzka stworzona jest przez Boga dla celów dobra i piękna duchowego, każda ma w sobie zarodki pewnych przymiotów i cnót, trzeba przeciwieństwem aby wychowanie rozwinięło te szczone siły, które nie pozwoliłyby wzrosnąć złym moralnie, zgubnym wadom. Spełnia się też na każdej młodej istocie to co nam paralela ewangeliczna przedstawia pod postacią dwóch siewców, jednego, gdy przy złotych blaszach jasnego słońca rzucił na grunt urobiony pod zasiew ziarna dobrych roślin i drugiego zakradającego się tu nocą, by zagłuszył te zasiewy przez kłakol.

Człowiek został przez Boga stworzony do dobra, należy więc, żeby zarodki tego dobra mogły się szczęśliwie rozwijać — i każda też cnota potrzebuje gruntu takiego, takiej atmosfery, żeby stać się to mogło. Postęp ludzkości tą tylko drogą może się spełniać, toteż celem wychowania jest, do prowadzić młodą istotę do najdoskonalszej normy człowieka jaką pojmujemy, a rozbudzać szlachetnych uczuć i porywów siły, to znaczy ten powinien odważnie przeciwstawiać się złemu i siły swe na to wyteżać, aby wyższe szlachetniejsze instynkty rozwijały mu się w piersi — aby serce uderzało jedynie mocą szlachetnych uczuć.

Wyszkolenie umysłu jest tu człowiekowi wielką pomocą, należy też już od lat najmłodszych na dziecko tak działać, aby rozbudzało się w nim pragnienie wiedzy tego co je otacza, a wtedy to wystąpią przed oczy wychowawców intelektualne skłonności dziecka, to co myśl jego najsilniej uderza i najbardziej zajmuje, a obowiązkiem rozumnego wychowawcy jest żeby to śledził. Człowiek jest istotą samodzielną, jak skłonności jego, tak i chęci z trudnością tylko złamać się w nim dadzą, a nigdy bez szkody, jeżeli to działać się będzie siłą przymusu. Są różne obdarowania ducha, są też i różne siły umysłu, dlatego więc rozumni rodzice i wychowawcy nigdy gwałtem na umysł dziecka działać nie będą, bo to, co siła na nim wymusza, stanie się wiedzą martwą, która nie będzie mu żadną pomocą dla życia.

St. J.

ŹRÓDŁA WIARY

E W A N G E L I A

WEDŁUG ŚW. MARKA

Drugim z kolei opowiadaniem Ewangelii to Ewangelia według św. Marka. Jan Marek był synem Marii z Jerozolimy a krewnym św. Barnaby. Ochrzczony prawdopodobnie po śmierci Zbawiciela przez św. Piotra, nie był bezpośrednim uczniem Pana Jezusa. Niektórzy autorowie utożsamiają go z owym młodzieńcem, który był świadkiem pojmania Jezusa w Gece-manii. Około roku 43 udaje się wraz ze św. Pawłem i Barnabą do Antiochii. Następnie towarzyszy im w pierwszej wyprawie misyjnej na Cypr i do Pam-filii, skąd powraca do Jerozolimy, w roku 49 znajdujemy go znów w Antiochii i na Cyprze z Barnabą. Później współpracuje także z św. Pawłem. Znajdujemy go w Kolossach, w Poacie, Galacji, Kapadocji, Azji i Bytynii. Bardzo stare podanie uważa Marka za tłumacza św. Piotra i przypisuje mu założenie Kościoła w Aleksandrii, gdzie był pierwszym biskupem. Około roku 62 do 64 widzimy go w Rzymie przy boku św. Piotra i Pawła. W czasie drugiego pobytu św. Pawła w więzieniu rzymskim, Marek ewangelizował Azję Mniejszą. Dalsze koleje jego życia są nam nieznane.

Św. Marek jest autorem drugiej Ewangelii. Twierdzenie powyższe nie przedstawia żadnych wątpliwości, potwierdzone przez najstarszych pisa-

rzy kościelnych. Wszystkie drobne szczegóły, które autor z wielką dokładnością podaje, wyraźnie mówią, że mógł je zaczerpnąć tylko od naocznego świadka, jakim był właśnie Piotr. Piotr zajmuje w Ewangelii miejsce wyszczególnione. Choć również z drugiej strony jest przedstawiony w okolicznościach upokarzających. To tłumaczy się tylko tym, że autor wiernie odtwarza osobiste wspomnienia św. Piotra, tak jak je słyszał podczas przemówień z jego ust.

Św. Marek pragnął w swojej Ewangelii, że Jezus jest Synem Bożym i prawdziwym Bogiem, którego potęgę wszystko ulega. I dlatego św. Marek zwraca szczególną uwagę na cuda Jezusa, które dobitnie wykazują Jego bóstwo. Sama treść Ewangelii każe się również domyslać, że autor na uwadze miał chrześcijan nawróconych z pogaństwa, a mianowicie Rzymian. Niektóre nawet szczegóły wskazują na Rzym, jako na miejsce powstania Ewangelii. że Ewangelia była pisaną, że się tak wyrażę na eksport, świadczy również fakt, iż tłumaczy słowa hebrajskie i objaśnia zwyczaje żydowskie.

Lew jest symbolem św. Marka, bo Ewangelii swoją zaczyna od opisu św. Jana Chrzcielowego na pustyni, której panem jest ów król zwierząt.

Dwie miłości rycerza z Loyoli

— Pamiętaj, chłopcze, że łaska monarchów jest jedynym godnym ubiegania się celem szlachcica na ziemi!

Tak powiedział don Juan Velasquez de Cuellar, zarządca letniej rezydencji królewskiej w Arevalo, przyjmując do korpusu paziów 7-letniego Iniga de Loyola, syna ubogiego krewnego, liczną obciążonego rodziną. Zona don Juana, donna Maria, pierwsza dama dworu królowej Izabelli, podsycała w tym kierunku ambicję chłopca, który jej dany był na wychowanie.

Ale dla Iniga komnaty królewskie pustką wiały i nudą. Sztucznie podsykana próżność nie mogła wypełnić mu życia. Stokroć wolałby harcować na koniu wokół ojcowskiego gródka w Loyoli, albo wspinać się z braćmi na dzikie zbocza pirenejskich gór, za którymi tęsknił nieustannie.

Lecz i w zamku Arevalo zaszły z czasem niespodziewane zmiany. Zmarła stara królowa Izabella, którą pochowano w habicie zakonnym, a postarzały król Ferdynand — wbrew radom kardynała Ximenesa — ożenił się powtórnie z młodą, żądną zabaw księżniczką francuską Zermena de Foix. Ponure komnaty królewskie napłynęły się weselem, muzyką, śpiewem, tańcami. Zaczął się nieprzerwany ciąg uczt i balów, oraz turniejów rycerskich. Czternastoletni Inigo usługiwał młodej pani przy stole.

Nikt z świetnych gości nie zwracał uwagi na pazią, który z pobladłą twarzą i z gorączkami oczyma wpatrywał się w swoją królową, jakby się do niej modlił. W młodzieńczym jego sercu zapłonęła pierwsza miłość i wypełniła je po brzegi. Nie było w niej nic z grzesznego pożądania, lecz czysty, naiwny, dziecięcy jeszcze zachwyt, jakiego się dostaje przed obrazami świętych w kościołach. Miłość Iniga była bezinteresowna i całkowicie beznadziejna, bo przecież chłopiec nie mógł nawet myśleć o wzajemności Zermeny. Jak każdy zakochany nie, widział w królowej wad. Wydawała mu się najpiękniejszą i najcenniejszą z kobiet na ziemi. Nie widział w niej płytkiej próżności ani kapryśnej kokieterii, jaką podbijała dostojników dworskich i rycerzy. Gdy zauważył, że spojrzenia dworaków, jakimi obrzucali Zermene, są zbyt poufale i ziemskie, uznał ich za winnych świętokradstwa i był w rozpacz, że jeszcze nie może się z nimi w szrankach o cześć królowej potykać.

Zazdrościł Inigo tym, którzy podczas uczt siedzieli naprzeciw królowej i mogli na jej twarz napatrzeć się do woli. On bowiem, choć stał tuż za jej fotelem, widział przeważnie tylko tył jej głowy: czarne, trefione, na kark spadające włosy, nakryte przejrzystym, muslinowym szale, który spełniał rolę czepka i spadał aż na piersi. A królowa też nigdy nie widziała wtedy pazią, tylko jego ręce, zmieniające przed nią zgrabnie i szybko talerze na stole...

Doczekał się wreszcie Inigo dnia, w którym król Ferdynand pasował go na rycerza. Wówczas zgodnie z rycerskim obyczajem mógł sobie królową za panią serca obrać i w jej barwach w turnieju się potykać. Za szczyt szczęścia wyobrażał sobie, że jako zwycięzca przed Zermena uklęknę, by z ręką jej nagrodę otrzymać. Odtąd też spotykając królową, nigdy czapki przed nią zgładnie z ceremoniałem nie zdejmował, co miało oznaczać, że zmysły traci z uwielbienia.

Tymczasem intryga dworska podcięła wpływy obojga małżonków de Cuellar, do

których „familii“ rycerz Inigo należał. Został wraz z nimi usunięty z dworu, zanim zdołał zwrócić na siebie uwagę płochę królowej.

Odtąd poświęcił się całkowicie służbie wojskowej, modląc się o taką wojnę, która by imię jego uczyniła sławnym w całym kraju. Chciał walczyć o chwałę królowej, która by wówczas musiała o nim usłyszeć i z powrotem na dwór swój zawezwać.

Na wojnę taką czekał cztery lata. Wreszcie wojska francuskie, wspomagane przez powstanie miast kastylskich, wtargnęły do hiszpańskiej Nawary w maju 1521 roku. Gdy stanęły pod murami Pampelony, rada miejska wydała dobrowolnie wrogowi klucze miasta, a mały garnizon hiszpański cofnął się do cytadeli. Twierdza ta o walących się murach nie była przygotowana do obrony, nie miała zdatnych do użytku dział, kul, prochu ani żywności. Toteż komendant nie miał zamiaru stawiać oporu i wezwał wszystkich oficerów, by zawiadomić ich, że postanowił się poddać. Wszyscy przyjęli tę decyzję w milczeniu jako nieuchronną i jedynie słuszną, gdy najmłodszy z nich, Inigo de Loyola, wybuchnął gwałtownie:

— Poddać się wrogowi? Zdradzić króla i królową? Shańbić honor rycerski hidalgów? Nigdy jeszcze Hiszpanie nie składali przed najeźdźcami oręża, póki mieli ramie zdrowe i szpadę władać mogli! Na Boga żywego! Czyż nie pięknieć zginąć w boju? Czy nie pięknieć pójść na pewną śmierć, niż bez walki oddać się w niewolę?

Podniósł młody Inigo ducha w swych starszych kolegach. Nigdy bardziej nie czuł się rycerzem Zermeny, jak w tej chwili, gdy krew swą przelać za nią postanowił.

— Za mną, kto w Boga wierzy! — krzyknął dobywszy szpady. — Na mury! Wszyscy na mury! Niech żyje królowa!

Okrzyk podjęli wszyscy i porwani przykładem Iniga ruszyli do walki.

Obrona była beznadziejna, bo Francuzi pociskami dział skruszyli słabe mury i wdarli się do cytadeli. Inigo de Loyola, który szpadą walczył przeciw armatnim kulom, legł ze strzaskaną nogą.

Cios był to dla niego straszliwy. Utrata nogi przekreśliłaby raz na zawsze jego rycerską przyszłość i ostatnią nadzieję służenia królowej Zermenie. Toteż przywieziony do gródka ojcowskiego w Loyoli, kilkakrotnie sprowadzał chirurgów, by mu nogę ratowali. Gdy zleżone kości zrosły się krzywo, kazał je łamać — bez użycia środków znieczulających, których jeszcze wówczas nie znano — i na nowo składać. A gdy i tym razem narodziła się szpetna na kości mu wyrosła — kazał ją sobie odpilować.

Cierpiał przez szereg miesięcy nieludzko, wyciągnięty w prymitywnej drewnianej maszynie. Wśród mąk wywoływał w pamięci obraz królowej Zermeny z uśmiechniętymi oczami i drobnymi ustami, w muslinowym czepku-szalu, który opadał na piersi. Lecz obraz ten stawał się coraz bardziej mglisty, coraz bardziej zatracił szczegóły. Zaczęła zawodzić wyobraźnia.

Chciał czytać. Prosił o książkę „Amadis de Gaula“, do której od czasów paziowskich zaglądał wielokrotnie, rad w niej na miłość szukając. Ale w Loyoli takich książek nie czytano. Jedynymi zabytkami sztuki drukarskiej w gnieździe rodzinnym Iniga były: czterotomowa „Vita Christi“ (Życie Chrystusa) i zbiór legend o świętych „Elos Sanctorum“.

W braku innej lektury wziął się do czytania legend. Zrazu wzdragał się przeciwko aktom pokory i ubóstwa, a zwłaszcza przeciwko umartwieniom ciała. Odrzucał zniechęcony książkę, lecz potem znów do niej powracał. W miarę czytania zaczęła go porywać jak dawniej rycerskie romansy. — Przykłady św. Dominika i św. Franciszka z Asyżu ukazywały mu jak wysoki stopień doskonałości osiągnąć można przez opanowanie ciała i jak wielkie zdobycze wśród ludzi siłą ducha dokonać. Myśl Iniga pracowała przez długie tygodnie niemocy, przebijając się przez mroki ku światłu. Obraz królowej Zermeny rozwił się ostatecznie i przestał go nawiedzać. Natomiast w wyobraźni jego coraz częściej jawiła się postać Królowej nieba i ziemi, Matki Chrystusowej, która do swojej chwały go wzywała.

Gdy już czuł się lepiej i zaczynał siadać, kazał się pewnej nocy służącemu na zydlu do okna otwartego przysunąć. Przez szereg godzin wpatrywał się w tysiączne światelka wszechświata, drgające na firmamencie, które mówiły mu o królestwie Chrystusa, stokroć większym i wspanialszym od światowej potęgi Karola V, jego obecnego władcy. I oto ujrzał się nagle chorążym Jezusa, wiodącym karne hufce rycerzy ducha do bezkrwawej walki o Królestwo Jego na ziemi, którzy zarazem ślubować będą wiernej służbie umiłowanej Królowej niebieskiej — Maryi. Do takiej służby nie będzie mu przeszkodą noga skrócona, ułomna. Do takiej służby przysposobi się sam przez ćwiczenia i duszy własnej odmianę. Jest cel większy na świecie niż łaska monarchów, o którą walczył mu kazał don Juan Velasquez de Cuellar.

Skoro tylko wyzdrowiał, opuścił Inigo ojcowski gródek w Loyoli. Pieszo ruszył jak pielgrzym ku głośnemu klasztorowi w Montserrat, gdzie legenda rycerska umieściła zamek św. Graala. Po drodze zamienił swe szaty z żebrakiem i jako niedzisz w zniszczonej opończy stanął w klasztorze, prosząc o generalną spowiedź z całego życia.

Następnie udał się Inigo do kaplicy Najświętszej Panny, by swą szpadę oficerską na Jej ołtarzu złożyć. Upadłszy na kolana ślubował niebieskiej Królowej, że Ja sobie za Panią serca obrała i wierną Jej służbę po kres żywota przyrzeka. Potem przez szereg godzin, do jasnego świtu, stał wyprężony na baczność — na warcie przed swoją Królową.

Z Iniga stał się Ignacy.

PRZECZYTAJ I ZASTANÓW SIĘ...

Wystarczy zwrócić się do Maryi, by być wysłuchanym. „Matko moja“ — mówi Jezus — „Nie mogę ci odmówić. Gdyby piekło zdołało wzbudzić żal prawdziwy, wyjednałabyś łaskę nawet dla szatanów.“

Św. Jan de Vianney.

„Maria otwiera komu zechce skarby bożego miłosierdzia, kiedy zechce i tak jak zechce. Stąd żaden grzesznik, jakkolwiek wielkie byłoby jego zbrodnie, nie może się zgubić, jeżeli Marya weźmie go pod swoją opiekę.“

Św. Bernard.

P O Ś W I E C E N I E

U wejścia do wigwamu siedział starzec, imieniem Płomienny Grot, wódz plemienia Delawarów, obok zaś niego jego syn, dorodny młodzian, Nieustraszone Serce. Obadwaj byli odziani w szerokie, skórzane opończe, ramiona i stopy mieli obnażone, a na głowach — chwiały się pęki orlich piór.

Stary Indianin zdawał się być pogrążony w głębokiej zadumie, bo zapomniał o "zagastej oddawnej fajce, którą trzymał w zębach i stalowe jego oczy tępo patrzyły na rozległą równinę i ciemną ścianę odwiecznego boru, do którego tuliła się nie wielka osada Delawarów.

Naraz poruszył się wódz sędziwy, podniósł głowę do góry i począł nadśluchiwać. Nieustraszone Serce, idąc za przykładem ojca, również nadstawił uszu, jakby chciał pierwszej pojąć i odgadnąć nagle zaniepokojenie swego rodzica. Jednak prócz bicia własnego serca i dalekiego poszumu puszczy — nic nie usłyszał takiego, co by mogło wzbudzić ciekawość i większe zainteresowanie.

Tylko oblicze Płomiennego Grota zamarło w bezruchu i w zrenicach jego zamigotały drobne, złote błyski... Najwidoczniej było, że go coś obudziło z odrętwienia, że go coś zajęło i skupiło uwagę!...

I w tej samej chwili, kiedy młody Delawar wyjął obojętnie krzesiwo, aby usłużyć ojcu i zapalić mu fajkę, tenże zlekka odepchnął syna od siebie, a porwawszy się z miejsca, wskazał ręką na zachód, w stronę boru, i szepnął:

— Sły...sza...leś!?

— Ja nic nie słyszę...sza...jem!.. odparł cicho zagadnięty.

— Delawerowie muszą zawsze słyszeć, choćby — nie słyszeli! — ciągnął Płomienny Grot; — i widzieć, choćby nie widzieli, bo puszcze są rozległe, aż po Kordyllery, a Błade Twarze włączają się wszędzie, jak wilki i zagrażają czerwonoskórym!...

Tu nagle urwał i począł znów nadśluchiwać.

Gdzieś, w przestrzeni dalekiej, w głębi nieprzebytej puszczy, niby przytłumiony pomruk burzy, przeleciał niebem odgłos wystrzału...

— No, nie mówiłem? — wykrzyknął nagle stary wojownik, wyjmując fajkę z ust i poprawiwszy we włosach zwisające pióra, — że trzeba słyszeć, choćby się nie słyszało, i widzieć, choćby się nie widziało! — dodał, obracając się rozpromienioną twarzą do syna.

Młodzian nisko sklonił się ojcu na znak, że słowa jego aż nadto rozumie, a podniósłszy po chwili ku niemu swoje jasne oczy, czekał nieruchomo, aż ten ozwie się. Z postawy jego i wyrazu oblicza zgadłbyś odrazu, że jest gotów do spełnienia każdego rozkazu!

Stary Indianin jednakże nie kwapił się zbyt do wydawania poleceń.

Usiadł znów z powagą na progu wigwamu, sięgnął z torby szczyptę tytoniu, nałożył do fajki i, zapaliwszy ją, rzekł po chwili przytłumionym głosem:

— Tam, gdzie bardzo daleko, o wiele staj, w niedostępnych preriach są Błade Twarze! Słyszałem echa wystrzałów. To groźny dla nas znak! Obawiam się ich kuli ognistych i idącej w ślad za nimi — śmierci!...

Umilkł, następnie spojrzał na stojącego syna, a widząc gotowość jego do spełnienia rozkazu, dorzucił:

— Postanowilem, że... pójdiesz w tę stronę, skąd padły odgłosy wystrzałów, i zrobisz wywiad! Ja — tymczasem zwołam radę u wielkiego ognia, aby strzec ciszy wigwamów i dać ci pomoc w razie niebezpieczeństwa! To mówiąc, przyłożył dłoń do ust i huknął w nie potrzykoc z całej piersi...

Na ten głos odrazu obudziło się życie w całej osadzie indiańskiej: porwali się z legowisk uzbrojeni wojownicy, kobiety zaczęły w głos zawodzić i lamentować — i w chwilę później zasiedli wszyscy mężczyźni w okrag ogniska, aby radzić nad zażegnanie grożącego niebezpieczeństwa...

Tymczasem Nieustraszone Serce zdążył posilić się trochę i niezadługo potem przedzierał się już wąwozem w głąb tajemniczej puszczy leśnej, w stronę nieznanych odgłosów.

Ubrany był w opończę, przez ramię miał przewieszony łuk, u boku zaś majdał się kołczan ze strzałami.

Zrazu szedł zwawym krokiem, nie zważając na liczne przeszkody, jakie napotykał na drodze; lecz czym głębiej wdierał się w gąszcze, tym trudniejsza i uciążliwsza stawała się wędrówka — tym wolniej posuwał się ku nieznanej dali... Miejskami trafiał na powalone kłody drzew, tak, że musiał je z trudnością omijać lub przeskakiwać, to znów brodził po kolana w wodzie, przeprawiając się przez rwące potoki.

Wreszcie doszedł do miejsca, gdzie rozpościła się niewielka polanka, zarosnięta wysoką trawą. Tutaj postanowił zatrzymać się trochę i odpocząć. Zdjął więc łuk z ramienia, żeby mu było wygodniej i oparłszy czoło na dłoniach, zamyslił się.

Nim jednak zdążył zebrać rozprzeczne myśli, usłyszał w pobliżu trzask łamanych gałęzi. Mimo woli zerwał się z miejsca i chwycił za broń.

— Człowiek, czy zwierzę? — przemknęło pytanie w umyśle młodego Indianina, i długa lśniąca strzała zamigotała na cięciwie.

Gdy tak nadśluchiwał, tejże samej chwili o paręset kroków od niego rozległ się przeciągły huk strzelby.

— W samą porę! — pomyślał Nieustraszone Serce: — byłbym tylko zdążył?!... I nie zastanawiając się już więcej nad niczym — podążył co sił w tę stronę, skąd doleciało echo wystrzału. Nie zważał ani na poronione stopy, ani też na liczne przeszkody, na jakie natrafiał po drodze. Biegł na oślep, zataczał się, potykał. Chwilami tylko zatrzymywał się, przystawał, aby zaczerpnąć trochę powietrza. Wtedy zdawało się mu, że słyszy jakiś przeciągły skowyt, to znów krzyk ludzki!...

Nagle stanął, jak wryty: wewnątrz lasu, pod pnem rozłożystej sokory ujrzał białego człowieka, opartego plecami o drzewo z opuszczoną bezzadnie ku ziemi strzelbą, zaś o kilkanaście kroków dalej — przyczoną i szykującą się do skoku krwawego — pumę.

Młody Delawar odrazu zrozumiał grozę sytuacji: wyczytał z twarzy białego człowieka, że jest już walką wyczerpany, wiedział, co znaczy bezzadnie opuszczona broń oraz dwa nieruchomo leżące tuż obok cielska lwów puszczańskich!...

Nie namyślając się zupełnie, sięgnął po strzałę do kołczana i, nim puma zdążyła skoczyć, padła bez życia z rozwartą paszczką. Jednocześnie prawie i Indianin wyszedł z ukrycia. Teraz dopiero zauważył

biały człowiek, kto go ocalił od niechybnej śmierci. Jednak trupia bledność nie ustąpiła z jego oblicza. Obawiał się niemiennie skalpu z rąk czerwonoskórych i męczęńskiej śmierci, jak krwiożerczych lwów!

To też pot zimny, kroplity oblał go znów od stóp do głowy, zalewając oczy... Zrozumiał, że i tak zginie, polecił więc z całym spokojem i ufnością duszę swoją Bogu i ujrzał wszystko, co nastąpić miało!...

Lecz nieustraszone Serce, odgadując jakby obawy Białego, ułamał zieloną gałązkę i, wymachując nią nad głową, zbliżył się powoli do ocalonego.

— Niechaj się błady myśliwy nie obawia — rzekł w indiańskim narzeczu — ani syna Płomiennego Grota, ani też jego ojca, wódza Delawarów! Nieustraszone Serce zaprowadził go do wigwamu swojego, aby wypoczął, a jeśli zechce, postara się dla Białego nawet o ogniste kule, które zabijają nie tylko pumy i zgłodniałe wilki!...

Uradowany traper zamiast odpowiedzi skrzyżował ręce na piersiach na znak, że zgadza się na wszystko, następnie przy pomocy Czerwonoskórego towarzysza, zdjął skórę z ubitych lwów, a w chwilę później ruszyli w stronę osady, do siedziska Płomiennego Grota!...

We wsi aż zakotłowało, kiedy młody Indianin pojawił się z Bładą Twarzą. Wszyscy, jak jeden, obstąpili wigwam wodza, potrząsając groźnie włóczniami i wyrzucając w powietrze tomahawki na znak niezadowolenia.

Sam nacelnik plemienia Delawarów, pomimo, że już zdążył wysłuchać opowiadania swego syna, miał groźną minę, i żeby nie odwieczny obyczaj, jaki panował wśród Indian, że nie wolno zabijać największego wroga, póki gwiazda dzienna nie zagaśnie na niebie — z jego zachowania odgadnąć można było, iż pierwszy oskalpowałby białego przybysza!...

Tymczasem wokół Smigłej Strzały, najzaciętszego wroga Białych, zebrała się liczna grupa wojowników. Szepotali coś między sobą i szybko doszli do jakichś wspólnych wniosków.

Nieustraszone Serce nie zwrócił na to uwagi. Jakże jednak miał tego później żałować!!! Białych zaś, nie znając w ogóle obyczajów Indian, zadowolony był niezmiernie, że sprawa wzięła tak pomyślny obrót i cieszył się w duszy, że dobry los pozwolił mu szczęśliwie uniknąć tylu niebezpieczeństw jednego dnia!...

Dzień szybko zbliżał się ku końcowi. Nad preriami, nad stepami i lasami zapadał lilowo-różany zmrok. Słońce stykać się zaczęło z horyzontem — czerwona kula zanurzała się w błękit nadciągającej nocy!...

Białych od kilku chwil był już gotowy do drogi: wsiadł na ofiarowanego mu konia i dziękował wodzowi i jego synowi za dobre przyjęcie. Niedługo potem ténitło po stepie echo galopu jego wierzchowca.

We wsi zaś — od strony przeciwnej — spory oddział Indian również szykował się do wyruszenia. Jeden z gromady, właśnie Smigła Strzała, przyglądał się uważnie niebu.

— No i co? — zapytał najmłodszy z Delawarów, Wilczy Chód.

— Jeszcze skrawek słońca tkwi nad matką-ziemią! Za chwilę!...

Zmrok gestniał.

— Naprzód!!!

(Dokończenie na str. 249)

O moja mammo!...

(Z LISTÓW DO MATKI)

—O, moja mammo! nie uwierzysz może, ile też wspomnień wciąż poświęcam Tobie — i na myśl samą, że o jednej porze tęsknim ogromnie gdzieś na naszym globie, z dala od siebie rozdzieleni losem — wzdycham do Ciebie i łkam rzewnym głosem!...

O, bo wiedz, Droga, że choćbym świat cały wzdłuż i wszerz przeszedł i w świt sięgnął złoty — żadne u progu nie witały mię tak ramiona i tyle tęsknoty nie będzie w oczach najbliższych mi z gminu, ile w Twych, Mammo, gdy mi powiesz:

— Synu!!!...

Ty jedna tylko pełna wyrozumień dla swego dziecka i przebaczeń skora, choćby litości zabrała i sumień, i choćby każdy rzucił moral:

Twa dłoń gorąca

lży wszystkie osuszy;

gwiazdy postrąca, byle świt był w duszy!!!...

To też ilekroć boleś serce zżyma i w ci- chej męce szloch z ust rwie się gamą — widzę na jawie własnymi oczyma, jak ku mnie ręce wyciągasz o Mamol jak łaskawie spoglądasz w głąb źrenic i z powiek swoich

EWANGELIA

NA JEDENASTĄ NIEDZIELĘ
PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

(Św. Marek 7, 31—37)

Onego czasu: Jezus, wyszedłszy z gra- nie Tyru przez Sydon, przyszedł nad Morze Galilejskie poprzez granice Dekapo- tu, i przywiedziono Mu głuchego i nie- mego, prosząc Go, aby włożył nań rękę. A wzięwszy go na bok, z dala od rzeszy, włożył palce swoje w uszy jego, a silną swą dotknął języka jego i wejrzawszy w niebo westchnął i rzekł do niego: Effetha! to znaczy: Otwórz się: i natych- miast otworzyły się uszy jego, i rozwią- zały się więzy języka jego, i mówił do- brze. I rozkazał im, aby nikomu nie po- wiadali. Ale im więcej im nakazywał, tym więcej jeszcze rozgłaszali i tym bar- dziej zdumiewali się, mówiąc: Dobrze wszystko uczynił, i głuchym sprawił, że słyszą, i niemym, że mówią.

Poświęcenie

(Dokończenie ze str. 246)

I gromadka wojowników ruszyła przed siebie. Łomot kopyt konskich buchnął w ciszę, jak wystrzał...

Nie mógł tego nie usłyszeć syn wodza. Wybiegł z wigwamu, rozejrzał się i ...zro- zumiał, co się miało stać!...

— Ojczel — krzyczał — to pewnie banda Smigłej Strzały goni Białego! Ja mu obie- całem, że żaden z naszego plemienia go nie dotknie!!!... Ojczel! — i z rozpaczą w sercu rzucił się do swego wierzchowca, aby za chwilę równie raptownie pograżyć się w pomroce...

— Wielki Duch niech go ma w swojej opiece! — wyszeptał ojciec Nieustraszonego Serca: — dobry z niego i szlachetny wo- jownik!!!...

A tymczasem Indianie szybko dochodzili do niespodziewającego się napaści Białego. Jechał on znacznie wolniej od ścigających go, to też prędko wpadł na jego trop, a za- raz potem usłyszeli tętent kopyt jego konia.

— Wakol! — zachęcał towarzyszy Wil- czy Chód.

— Za Potężną Prawicę! (był to wojownik szczepu Delawarów, zabity przez żołnierzy z fortu Timmeney).

Przeczytaj i zastanów się

„Katolicy to nie to samo co katoli- cym. Błędy, ociężałość, zaniedbania i bierność katolików, to nie są jeszcze cechy katolicyzmu. Katolicyzm nie ma obowiązku udzielać alibi brakom ka- tolików. Najlepsza apologetyka nie polega na usprawiedliwieniu lub na uniewinnieniu ich, gdy są winni, lecz przeciwnie na zaznaczeniu tych błędów i podkreślanu tego, że te braki nie tylko nie dotyczą istoty katolicyz- mu, lecz owszem tym lepiej podkreś- lają moc religii zawsze żywej pomimo licznych uchybień jej wyznawców.

strzasasz łez tych rosę, a głos Twój dla mnie — całym pokrzepieniem! — ten głos:

— Ja Ciebie na duchu podniosę!!!...

— O, wierz mi szczerze, ukochana Mammo, że nikt mi w życiu nie zastąpi Ciebie! i choćby szczęście ostało się samo i wszyst- kie gwiazdy zabłysły na niebie, i wszystkie skarby były mi oddane —

TYŚ mi najdroższa! przy Tobie zostanę!!!...

E. K.

W tym właśnie chwala i wielkość Kościoła, że jest zawsze święty mimo swych grzesznych członków.”

Jacques Maritain.



Jelińska.

Komunia śm.

Pokój przemożny w duszy
nastaje
Bo oto Jezus się jej oddaje
I w tej przedziwnej świętej
ciszy
Zda się jakoby chór aniołów
słysz.

I korzy się przed majestatem
Pana
Ze tak doniosła łaska jej dziś
dane
I tak niegodna czuje się miłości
Iż Pana nad pany w sobie teraz
gości.

Do stóp Jego w pokorze się
schyla
Z pragnieniem by tak wieczną
trwała szczęścia chwila.
Kochana — wzamian kochająca
szczerze
Wie, że oto Jezus ją na
własność bierze.

Wnet opadł Białego, jak sfora psów goń- cych.

— Co się stało? — zawołał Biały, ale nie był przerażony, bowiem pamiętał obietnicę Nieustraszonego Serca.

— Zginiesz, nędzny błąd psie! — krzyk- nął porywczo Tępy Pazur, zausznik Smigłej Strzały i najbardziej krwiożerczy łowca skalpów.

— Jaktó? Przecież syn waszego wodza obiecał mi, że żaden z Delawarów mnie nie tknie!...

— ...I dotrzyma słowa! — rozległ się na- gle głos z boku i między gromadę, otacza- jącą Białego, wpadł, jak wicher, na spienio- nym rumaku Nieustraszone Serce.

— Słońce zaszło! Mamą prawę go zabić! — wołał Indianie.

— Nikt nie ma prawa i nikt nie ma takiej siły, żeby zmusić do złamania słowa szla- chetnego czerwonoskórego! — krzyknął młody wojownik i schwył za cugle konia bladej twarzy.

Nagle Wilczy Chód wy dobył nóż i usiło- wał zmienacka ugodzić nim Białego. Spo- strzegł to Nieustraszone Serce i podbił rękę mordercy, a nóż z całym rozpedem wbił się w gardło szlachetnego młodzieńca.

— Oool!... Oool!... — zawył z przerażenia Indianie i padł na ziemię obok śmiertelnie ranionego czerwonoskórego Brata. Ten żył jeszcze.

— Honor, honor! — szeptał przez krwa- wą pianę — trzeba dotrzymać... słowa, u- wolnić bia...le...go!... i — skonał.

— Jedź, biały psie! — warknął pośpiesznie Smigła Strzała. — Broni cię duch naszego wspaniałego brata!...

Biały nie czekał ponownie tej rady. Za chwilę tętent kopyt ucichł. Do fortu było jeszcze około 10 kilometrów. Za godzinę więc będzie już zupełnie bezpieczny...

Delawarowie zaś wzięli ze sobą zwłoki swego bohaterkiego współplemieńca i w żałobnym nastroju wrócili do swoich wig- wamów.

Smutno uderzały w niebo, roziskrzone gwiazdami, śpiewy pogrzebowe. Ani jedna iza nie lśniła w oku ojca zabitego. Dumny był, że syn zginął w obronie honoru, cho- ciaż żal rozsadzał mu piersi.

I od ogniska do ogniska, od wigwamu do wigwamu w takie noce gwiazdne szła po- tem długo jeszcze legenda o bahaterskim- synu wodza Delawarów.

E. K.

Czy pamiętasz?

Młody inżynier, jak to mówią świeżo „upieczony”. Cóż w tem dziwnego?

Znał ją jeszcze z lat szkolnych, kiedy razem „mierzyli” chodniki w drodze do gimnazjum. Cóż więc dziwnego, że pobrali się?

Najszczęśliwsze są lata młodości, więc młodej żonce kupował nylony i stylony, ciasteczka, a jak trzeba było i kolacyjkę „usmarzył”, bo po co ona ma się męczyć. Obiady a jakże w jadalni, bo przecież ręczeta „pani” straciłyby swą elastyczność, a cera twarzyczki od pary kuchennej przecie... tak i już mało który krem dogadzał jej wymogom, a lakier na paznokietki tak trudno dobrać... Cerować? Fe, to przestawiały zrywać... Coprawda mężulek tylko 1500 zł zarobi (z premiami i dietami), tak strasznie mało dla nich dwóch (?), ale on nie pozwolił jej — paluszek pokłuje — lepiej nowe pończoszki kupić.

— O Boże, sukienka już niemodna — wzdycha umęczona piękność — lepiej troszkę rozred. Przecież chyba kupi mi nową, kochany?

W sobotę wieczorem do kawiarni, a jakże. Tylko w niedzielę tak strasznie znowu zmęczona. — „Chyba pójdziemy kochanie na „nyguske” do kościoła — wzdycha piękność — to długo nie trwa.

* * *

A z dala od dużego miasta, w małej miejscinie, stary szewc klepie po podszewie młotkiem i uśmiecha się do żony.

— Widzisz, za trud naszego życia, za oszczędzony grosz, syn nasz dziś — człowiekiem...

— Tak, przytakuje żona, codziennie mędlę się o pomyślność dla nich. Muszą mieć dużo pracy, bo tak rzadko piszą...

Ze starością nieodzowny reumatyzm nie pozwala długo pracować, klientów coraz mniej, zarobki maleją. Może syn dopomoże w głębi duszy matka wzdycha?

O wpadł nareszcie do domu, bo był w pobliskiej miejscowości.

— Cóż mama myśli sobie, ja pomóż? Przecież ja tak mało zarobię, mam młodą żonę. Przykro mi bardzo, ale przecież mi nie starczy nawet na jej skromne (?) wymagania. A ona przecież tak się w domu umęczy.

— Doprawdy robię ofiarę — wyciąga spośród pliku „stówek” 20 zł i zostawia na stole, ale niech mama jej o tym nie mówi. Przepraszam bardzo ale ja już muszę na pociąg...

Nazajutrz w czasie rannej Mszy św. nie wiadomo dlaczego z oczu staruszki po twarzy potoczyło się wolno kilka grubych, słonych łez.

* * *

Czy pamiętasz młody człowieku, jak kilka lat wstecz matka żegnała ciebie wyjeżdżającego do dużego miasta na studia?

Może dziwno i przykre to wspomnienie, ucałowałaś szczerze wtedy spracowane ręce matki. Dziś to razi, przeculenie zbędne.

Ci starzy ludzie tacy dziwni, nie rozumieją ile dziś „życie kosztuje”. Cóż im na starość potrzeba? Przecież mam młodą żonę, musi się ubrać. Pojechać z nią do domu, nie wiem? Chyba na święta? Przecież tak bardzo wrażliwa, zresztą zwykle jedzenie może jej zaszkodzić. A tu Boże mój, czło-

wiek tych parę groszy zarobi, nie wie na co wprawdzie wydać?

— Tak prawda, więc matka musi sobie jakoś radzić...

* * *

A matka radzi się przed Matką wszystkich matek i prosi o przebaczenie dla niego... przecież tyle sobie odmawiała, aby on został człowiekiem.

A młody człowiek z dyplomem nie pamięta już dni młodości, dni w rodzinnym domu. Nie pamięta tych wieczorów matczynych wiecznie cerującej bielizny i skarpety jego.

On wyrastał, kształcił się, mądrzał. Matka kurczyła się do ziemi, malała, lecz stale jeszcze cerowała i modliła się za niego tak samo szczerze, jak i za resztę dzieci. Lecz on najstarszy, chluba i nadzieja.

Czy pamiętasz młody człowieku tę twoją prostą i zawsze uczynną matkę? Mało masz czasu, lecz matce wystarczy tylko pamięć, bez nylonów, bez czekolady...

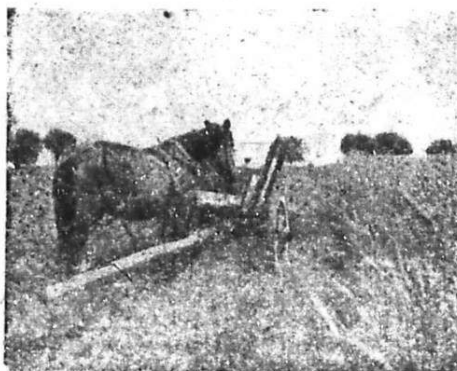
O jakże dziwni są ludzie? Pamiętają często o tym, że mieli matkę, kiedy już jej nie mają. A jak żyje, to nie zawsze myślą o niej.

* * *

A z ołtarza Matka Boża smutnie patrzy na łzę staruszki i zda się mówić:

— Za dobre matki macie — ludzie twardego serca...

M. Z.



Timotea.

WSI POLSKA

Chciałabym w piękniejszych słowach o szczęściu śpiewać w gniazdach ptasich, o cudzie rannej rosy na świerkowych drzewach o polskiej wsi naszej.

Ciepły wiatr niech wyśpiewa głośniejszawiewia liści strąconych o świecie, kiedy niebo cicho i najprościej ziemię naszą złoci.

Złoty promień w gałęziach drzew prześwieca, drzy rozgorzały tęczy blaskiem po śnie cichej letniej nocy przebudzonym brzaskiem.

Jakże mi śpiewać o Tobie wsi polska, przy świętym żniwie kiedy słów zabrakło w serdecznej mowie... — — ptakom śpiewanie ostawię...

Zgon zasłużonego kapłana

Ks. Proboszcz Olszacki nie żyje! Żalobna ta wieść, lotem błyskawicy obiegła parafie: Rokiciny i Mikołajewice i jak grom z jasnego nieba, uderzyła w serca parafian.

Kaplan o wysokiej kulturze umysłu i serca, pełen taktu, roztropności i Bożej miłości, swym czarującym obejściem pociągając do Kościoła wszystkich: starych i młodych, mężczyzn, kobiety, dzieci i młodzież szkolną, by ich do Boga, ostatecznego celu, przyprowadzić. Jedną poważnioną rodziną i małżeństwami; zamiłowanych w pijaństwie do wstrzemięźliwości i wzorowego życia doprowadzać. Był bezgranicznie dobrym; nie tylko dla wiernych, ale i dla niewiernych lub obojętnych na sprawy Boże. Prawdziwy kapłan według Serca Bożego. Za Jego rządów parafia, kościół był stale zapelniony po brzegi. Nawet osoby o niekatolickim światopoglądzie, wyrażały się o Nim z największym uznaniem. Przy tym, znakomity organizator, gospodarz i wielki esteta: chóry, orkiestry, organy, dzwony, urządzenie wewnętrzne i zewnętrzne kościoła, musiały być na najwyższym poziomie. Szczególną opieką otaczał cmentarze grzebalne.

Choć po przeżyciach obozowych w czasie okupacji niemieckiej, zdrowie zaczęło Mu nie dopisywać, pracował do ostatniej chwili, bo jeszcze w dniu Śwej śmierci: 24 czerwca b. r. odprawił Mszę św. i o 3-ciej po poł. ochrzcił dziecko. Tylko ślubu już wieczorem dać nie mógł, gdyż strudzone serce Jego bić przestało.

Uroczystości pogrzebowe w dniu 27. VI. w Mikołajewicach, były wielką manifestacją uczuć wdzięczności i przywiązania dla Zmarłego Proboszcza. Wzięli w nich udział nie tylko mieszkańcy parafii: mikołajewickiej, rokicińskiej, piotrkowskiej, ale i ludność przybyła z dalszych okolic, delegacje trzech Straży Pożarnych, Organizacji kościelnych, Chór kościelny, 2 zespoły orkiestralne i rzesza wiernych. Katafalka toń w powodzi kwiatów i wieńców. Dowodem uznania dla zasłużonego kapłana był udział JE. Ks. Biskupa Ordynariusza łódzkiego Dr. M. Klepacza oraz przeszło trzydziestu księży. Przemówienie żałobne na cmentarzu wygłosił ks. Izowski, który mówiąc o działalności śp. Zmarłego, podkreślił, iż „życie Jego spaliło się do dna w służbie Boga i bliźniego”. Chór kościelny i orkiestry wykonały nad grobem szereg pieśni żałobnych. Przemówił również gospodarz z parafii rokicińskiej ob. Pierzchała. Wzruszające pożegnanie wygłosił jeden z członków Straży.

Odszedł Pasterz dobry, który znał Swoje owieczki i one Go znały i kochały. Niech Bóg da szczęście wiekiście Jego świetlanej duszy.

H. S.

Z życia katolickiego w Wielkopolsce

PIŁA — PARAFIA ŚW. RODZINY

Niedziela Trójcy św. była w tym roku dla parafii św. Rodziny w Piłie niedzielą niezwykłą. W dniu tym Kościół św. otworzył swoje skarby dla swych wybranych dzieci zapraszając ich do Stołu Pańskiego.

Po dwuletnich trudach nauki przygotowawczej prawie stuipięćdziesiąt dzieci przyjął pierwszą Komunię św. Przy radosnych odgłosach dzwonów otworzyły się naosłone podwoje naszej pięknej świątyni, by przyjąć długi orszak dzieci i liczną rzeszę wiernych, która po brzegi wypełniła duży kościół. Z bijącym sercem oczekiwaliśmy wszyscy tej jedynej chwili, kiedy otworzy się taberna-

kulum i Boski Przyjaciel wyjdzie na spotkanie swych najmilszych. Zapłonęły świece. Podniesienie. Śpiewamy: „Pan Jezus już się zbliża...” W głębokiej pokorze odmawiamy:

„Panie nie jestem godzien...” Otwiera się tabernakulum, nasz duszpasterz odwraca się do nas i przemawia: „...Za chwilę Kościół św. obdaruje was, dzieci drogie, tym, co ma najdroższego, najświętszego, poda wam samego Jezusa, który oddał na zawsze weźmie serca wasze w posiadanie...” W ołtarzu Jezusa — Hostii odmawiają wszyscy, tylko dzieci, przyrzeczenia Chrztu św. Poteżnie odbijają się o mury świątyni słowa: „Wyrzekamy się” i „przyrzekamy”.

Czwórkami wstępują dzieci na stopnie ołtarza, zniża się Hostia biała, a z nią niebo wstępuje do serc dzieci. Wszyscy to czujemy w tej chwili, że „takowych jest Królestwo niebieskie”. W oczach rodziców błyszczały łzy. Wiele z nich także wraz ze swymi najmilszymi przystąpiło do Stołu Pańskiego. Anielskim Chlebem nakarmieni w radosnym nastroju opuściliśmy ten Boski Wieczernik, by nieść Jezusa przez życie.

Po południu tego wielkiego dnia wszystkie dzieci przybyły ponownie do kościoła na specjalne nabożeństwo dziękczynne, by się ofiarować Niepokalanemu Sercu Najśw. Maryi Panny. Po poświęceniu pamiątek, odbyła się przed głównym wejściem do świątyni wspólna fotografia.

Uwielbiony niech będzie Bóg, który dał nam tak piękne i głębokie przeżycia.
N. N. parafianin św. Rodziny w Pile.



MYŚLIBÓRZ

O Myśliborzu pisaliśmy bardzo mało w naszej kronice diecezjalnej. Nie dziwne przeto, że w zetknięciu się z ks. proboszczem Wojtusiąkiem Janem prosimy go o wiadomości z terenu parafii. Ks. proboszcz nie robi specjalnych trudności, wolałby wszakże, by „G” osobiście zjechał do Myśliborza i oglądał go na własne oczy, a potem pisał. Obiecujemy mu, że przy pierwszej okazji wpadniemy do Myśliborza, a na początek napiszemy to i owo na podstawie opowiadań ks. proboszcza.

Dowiadujemy się, że parafia jest dosyć duża, liczy bowiem do 9 tysięcy dusz. Do pomocy ma ks. proboszcz wikarego, wszakże nie łatwo nawet we dwójkę obsłużyć tyle dusz.

Myślibórz należy do miast, które w znacznym procencie uległy szkodliwym działaniom wojennym. Miasto do 25% zniszczone.

Przed wojną była tu parafia katolicka. Oazywista w diasporze słabo wyglądało życie parafialne. Katolicy mieli własny kościół parafialny, ale było to maleństwo na 500 osób, kapliczka właściwie. Był tu katolicki ksiądz, miał własną plebanię. Zachowało się to wszystko. Po przejęciu Ziemi Zachodnich przez ludność polską oddano i kaplicę i plebanie SS. Miłosierdzia Bożego, które pracą swoją pomagają ks. proboszczowi w parafii.

Obecny kościół parafialny jest świątynią poprotestancką. Objęto ją w katolickie posiadanie a poświęcono dnia 7. IX. 1945 roku. Był to w parafii myśliborskiej dzień wielkiej radości. Kościół duży, przestronny, piękny, pomieścić może do trzy tysiące wiernych. Jest w nim przepiękna nastawa

ołtarzowa. Warto ją oglądać. Rzadko gdzie spotyka się podobnie piękne.

Obecny kościół parafialny jest świątynią zabytkową. Dźwignęła ją na Bożą chwałę wiara katolików XII wieku. Kiedy płomień protestantyzmu ogarnął kraj niemiecki, protestanci wydarli ją katolikom. Po wiekach, po burzach wróciła znów w prawe katolickie ręce i służy dzisiaj ludowi polskiemu, zapełniającemu ją po brzegi na nabożeństwach wspólnych.

Kościół jest pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. Po przejęciu go w ręce polskie nie było w nim okien, trzeba było poprawić wież, chór, organy. Usunięto szpecące wnętrza balkony i całość dostosowano do form katolickich.

Ołtarz polskiego ludu dokonała wiele wkładu w kościół. Poza wymienionymi pracami należało urządzić jak należy wnętrze. Sprawiono więc ołtarz główny, siedem konfesonów, metalowe tabernakulum, ważące 27 kg, dziesięć chorągwi, sztandary, baldachim, wieczną lampkę, ornaty itd. Jest nowa Droga Krzyżowa.

Początkowo, gdy ks. proboszcz Wojtusiąk rozpoczął duszpasterską pracę w Myśliborzu miał szerokie pole do obsługi. Cały powiat był terenem jego kapłańskiej posługi. Z tak rozległej parafii wydzielono później następujące jednostki parafialne: Różańsko, Nowogródek, Trzcina i Kieszków.

Aby usunąć szkodliwe działanie wojny z dusz ludzkich, urządzono w roku 1947 misje. Prowadzili je OO. Kapucyni, nie żałując pracy dla Bożej sprawy. Bóg błogosławił dziełu. Ludzie garnęli się na te ćwiczenia duchowne i wiele z nich skorzystali.

Wielkim przeżyciem dla parafii była wizytacja biskupia i połączone z nią bierzmowanie. Było to w roku 1946. Ordynariusz gorzowski był serdecznie witany przez rzeszę wiernych i zostawił dotąd miłe wspomnienia u wiernych.

Dla pogłębienia religijnego życia w parafii urządzane są co roku rekolekcje.

Warto wspomnieć o ministrantach. Jest spora grupa chłopczyków, garnąca się z zapałem do pięknej ministranckiej służby Bogu. Odnosimy wrażenie, że ksiądz proboszcz lubi swoich ministrantów, bo gdy o nich mówi czyni to z żywością i specjalnie podkreśla niektóre momenty związane z ministrantami.

Odpust w Myśliborzu 24 czerwca i na Matkę Boską Różańcową.

— Już zdaje się z grubsza o wszystkim mówiłem — kończy ks. proboszcz naszą rozmowę o swojej parafii.

— Bardzo dziękuję. Napiszemy o wszystkim.

— Proszę jednak przyjechać do Myśliborza — zaprasza gościnny proboszcz.

— Przyjadę kiedyś.

— Czekam. Więć do widzenia w Myśliborzu. (G)



U W A G A !!! NOWOŚĆ!!!

Ukazała się książka Jana Dobraczyńskiego pod tytułem:

„KLUCZ MĄDROŚCI”

Wyd. „PAX” Warszawa 1951.

* * *

Powieść Bruce’a Marshall’a pod tytułem

„CHWAŁA CÓRY KRÓLEWSKIEJ”

Wyd. „PAX” Warszawa 1951.

Kościół i świat

— Nowy teleskop w Watykanie. Watykańskie obserwatorium w Castel Gandolfo ma swoją historię i duże zasługi na polu astronomii. W tych dniach rozpoczęto montaż nowego teleskopu. Jest on przeznaczony specjalnie do obserwowania gwiazd zmiennych, które ze względu na zainteresowanie nimi obserwatorium watykańskie są nazywane „zmiennymi watykańskimi”.

— W przeddzień wigilii Niepokalanego Poczęcia, 6. XII. ub. r. Ojciec św. ogłosił nową encyklikę — „Mirabile illud”, wzywając wiernych do publicznych modłów, za pośrednictwem Niepokalanego, o pełny i szczerzy pokój dla wszystkich narodów. (M)

— W. Bawey, wikariusz anglikański w Woodlands, przeszedł na wiarę katolicką.

— Kongres kleru w Rzymie. Z okazji beatyfikacji Piusa X w dniu 3 czerwca b. r. w Rzymie odbył się tam międzynarodowy kongres duchowieństwa, połączony z referatami na temat wskazań Piusa X o powołaniu kapłańskim i do modlitwy do nowego błogosławionego Papieża. W szczególności był omawiany temat: Eucharystia w życiu kapłana. (M)

— Katolicyzm w Anglii. Ostatnio opublikowany „Rocznik Katolicki” dla Anglii podał liczbę katolików w Anglii na 3 miliony. Dokładnie jest ich tam 2.808.596. W roku ubiegłym zanotowano 11.517 nawróceń na wiarę katolicką.

— W Homiera na wyspach Salomońskich cały klasztor zakonnic anglikańskich złożony z 4 siostr i kilku nowicjuszek przeszedł na łono Kościoła katolickiego. Naprzód siostry złożyły wyznanie wiary, po czym otrzymały warunkowy chrzest (t. j. o ile w anglikańskim kościele był nieważny). Odprawiły spowiedź, przyjęły Komunię św. i otrzymały sakrament bierzmowania.

— Trzęsienie ziemi we Włoszech. W drugiej połowie maja północne Włochy nawiedzone zostały dość silnym trzęsieniem ziemi. Poszczególne wstrząsy trwały 3—8 minut. W obserwatoriach igły sejsmograficzne wyskoczyły z osi. Najwięcej ucierpiał miejscowości położone nad jeziorami Garda i Como, gdzie wstrząsy rozkołysały wody jezior, powodując olbrzymie fale od brzegu do brzegu. W miastach: Mediolan, Como, Turyn, Werona, Genua, Bergamo powstała nieopisana wprost panika, gdyż trzęsienie ziemi na tym obszarze Włoch należy do wydarzeń niezmiernie rzadkich; panika w Mediolanie przypominała panikę w czasie bombardowania w 1943 r.

— Pierwsza monografia muzyki afrykańskiej jest dziełem misjonarza z zakonu Synów Św. Serca Jezusowego, który 20 lat pracy poświęcił najdokładniejszemu zbudowaniu muzyki i śpiewów jednego z najliczniejszych szczepów afrykańskich, zamieszkujących olbrzymie obszary między Kongiem a Nilem. Misionarz ów twierdzi, że technika tej muzyki ma pewne cechy wspólne z starodawną muzyką gregoriańską, a walory jej pozwalają na posługiwanie się melodiami tego szczepu także w Kościele.

— 100 lat hierarchii katolickiej w Holandii. Z początkiem maja 1953 odbędą się w Holandii obchody z okazji 100 rocznicy ustanowienia hierarchii katolickiej w tym kraju przez papieża Piusa IX. Organizacją uroczystości jubileuszowych zajął się specjalny komitet pod nazwą Fundacji 1853—1953. Komitet powstał za zgodą episkopatu, a w skład jego wchodzi przedstawiciele organizacji katolickich, profesorowie uniwersytetów katolickich, księża itd.

Rzeczy ciekawe:

HISTORIA TYTONIU.

Wprawdzie Chińczycy utrzymują, że użytek tytoniu znany im był jeszcze przed odkryciem Ameryki, że jednak, jak wykazują najnowsze badania, są oni w błędzie, znali bowiem inne rośliny o właściwościach narkotycznych, w szczególności opium, tytoń natomiast to dar Ameryki.

Pierwotnie tytoń rósł dziko w strefie tropikalnej Ameryki, na ziemiach dzisiejszego Meksyku, Peru i Paragwaju i był przez krajowców, tj. Indian żuty i palony w fajkach. Poraz pierwszy wspomina o nim Wiktor Pinzon, śmiały żeglarz i odkrywca nowych kontynentów, w swoich pamiętnikach z r. 1492. Dziwi się on oczywiście temu „dziwnemu zwyczajowi wdychiwania dymu za pomocą trąbki napełnionej suchymi liśćmi jakiejś rośliny, której nazwy nie znał. Nazwę „tobacco“ podaje po raz pierwszy inny podróżnik Benzoni w r. 1556, a pochodziła ona prawdopodobnie z języka Indian z Yucatanu. Do Francji przywiózł tytoń pewien zakonnik z Brazylii i był on znany pod nazwą „petum“ względnie „petun“ zbliżoną do petunii, do której zresztą tytoń bardzo jest podobny. Rozpowszechnienie tytoniu w Europie przypisuje się jednak głównie uczonemu hiszpańskiemu Francisco Fernandez, który na polecenie króla Filipa II zbadał możliwości plantacyjne tej rośliny, celem importowania jej na wielką skalę, zważając bowiem zażywania tytoniu do nosa i palenia fajek szybko się przyjął. We Francji stał się on modny z chwilą, gdy ambasador francuski w Portugalii, Jan Nicot przywiózł tytoń w r. 1559 królowej Katarzynie Medycejskiej, jako środek przeciwko migrenie i bólowi głowy. Stąd początkowo nazwano go „ziołem królowej“, a potem od nazwiska Nicot — nicotyną. W Anglii przyjął się zwyczaj palenia tytoniu dopiero około 100 lat później, gdy odkrywca i kolonizator Florydy, Walter Raleigh, wprowadził go na dwór królewski.

Pierwszym krajem Ameryki, w którym rozwinęła się plantacja tytoniu na wielką skalę, stała się Wirginia, gdzie inny awanturzysta brytyjski, John Rolfe, poślubiwszy księżniczkę indiańską Pocahontas, założył rozległe plantacje. Handel tytoniem okazał się wkrótce bardzo intratny, zaczął więc ścigać do Ameryki licznych białych osadników — oczywiście początkowo mężczyzn, a że ci nie wszyscy chcieli iść za przykładem Rolfa i żenić się z Indiankami, (a może i one ich nie chciały), chcieli natomiast zakładać rodziny, no i potrzebowali rąk do pracy, zwracali się z prośbami do „starej Anglii“ — jak podają ówczesne kroniki angielskie — o wysłanie młodych kobiet na żony, ofiarując za każdą po 120 do 150 funtów liści tytoniu wirginijskiego.

Tak to, rzeczby można, tytoń odegrał nie małą rolę w szybkiej kolonizacji pewnych stref nowo odkrytego kontynentu, zaś w tzw. „Starym Świecie“ przysporzył nowych źródeł dochodów państwowym. We Francji np. już w r. 1676 zreglamentowana zostaje hodowla tytoniu i poddana kontroli gospodarstw królewskich, powstaje zatem pierwszy monopol tytoniowy.

BOGACTWA MÓRZ I OCEANÓW

Ciekawe informacje podaje jedno z czasopism zagranicznych na temat olbrzymich bogactw, jakie kryją wody mórz i oceanów. Nie chodzi tu oczywiście o ryby, których połowu dokonuje się od niepamiętnych czasów, lecz o surowce mineralne i roślinne. Jeśli idzie o te ostatnie, to wskazuje się na

olbrzymie możliwości eksploatacyjne różnych użytecznych roślin morskich oraz trawy, zawierającej duże ilości jodu i azotu, które to substancje są bardzo odżywcze dla zwierząt, w szczególności koni. I tak 75 deka trawy morskiej równa się pod względem odżywczym 3 kg owsa, koszt jej natomiast jest trzykrotnie niższy. W dodatku „sianokosów“ morskich można by dokonywać 4 razy do roku, gdyż trawa morska odrasta co 3 miesiące. Jeśli natomiast idzie o mineralały, to — jak stwierdziły odpowiednie badania — grunt morski zawiera złoża żelaza, węgla, nafty, potasu itd. Najcenniejsze złoża te są przedłużeniem podwodnym tych składników ziemi, które zawiera najbliższy kontynent. Oczywiście, eksploatacja tych surowców będzie bardzo trudna i kosztowna, wymagać bowiem będzie specjalnych urządzeń i narzędzi, ale wobec postępu techniki należy się spodziewać, że trudności te będą wcześniej, czy później pokonane. Trudniej może przedstawiać się będzie problem podziału stref eksploatacyjnych pomiędzy zainteresowane państwa, bo niewątpliwie wszystkie one będą miały uzasadnione pretensje. W każdym razie problem ten będzie musiał być jakoś rozwiązany.

Przypominamy o wpłaceniu przedpłaty za „Tygodnik Katolicki“ do PPK „Ruch“ w Poznaniu na konto P. K. O. V-11831/110

Z ŻYCIA KATOLICKIEGO

— **Katolicyzm w Indiach** wzrósł niepomniernie od czasu odzyskania niepodległości tego państwa. Wzrosła także liczba kapłanów, pochodzących z ludności tubylczej. Na ogólną cyfrę 4.441 duchownych jest 2.795 tubylców, na 760 zakonników — 297, a na 11.050 zakonnic — 7.626. Pięćdziesięciu biskupów tworzy hierarchię kościelną w Indiach, a z tych połowa jest tubylców. Dużą w tym rolę odegrało piętnaście seminariów, w których kształcą się obecnie 1.398 seminarzystów. Największe z nich powstało dzięki papieżowi Leonowi XIII w Candy w roku 1893, dużą wziętością cieszą się również samaritania, prowadzone przez OO. Karmelitów i Salezjanów. W Indiach południowych rozwój katolicyzmu przybrał największe rozmiary. Szkoły przygotowujące do rozpoczęcia studiów teologicznych pod kierunkiem Salezjanów są zawsze przepelnione. Niektóre prowincje zakonne, jak np. Jezuitów w Belgum i Goa, a Kapucynów w Mangalore, składają się niemal wyłącznie z zakonników miejscowych. Zakonnice tubylcze oddają ludności ogromne usługi, pracując na szkołach, szpitalach i przytułkach. Jedną z nich, siostra Alfonsa, której pamięć czczą całe Indie, nazywając ją „Różą z Travancory“, stanie się pewno wnet patronką wszystkich tamtejszych biednych, którym całe swe życie poświęciła, aby ulżyć ich niedoli, bo dochodzenia w sprawie beatyfikacji siostry Alfonsy już się rozpoczęły.

— **Przedstawiciel Stolicy Apostolskiej w Meksyku.** Papież zamianował swego oficjalnego przedstawiciela w Meksyku. Został nim ks. Wilhelm Pian, dotychczasowy wizytator apostolski w Meksyku. Będzie on teraz delegatem apostolskim w tym kraju.



Zakład Budowy Organów KOŚCIELNYCH, KONCERTOWYCH NAJNOWSZEJ KONSTRUKCJI

Przebudowy, reperacje i kontraktowe strojenie organów

Dostarczanie motorów do zapędu powietrza, nowych piszczałek metalowych do wszelkich systemów organów oraz wszelkich w zakres wchodzących części.

LUDWIK SAGANOWSKI

mistrz budownictwa organów

POZNAŃ

ul. Grudzieniec nr 111 — Telefon 501 — 04
Dom własny

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.
Adres Redakcji i Administracji: Gorzów n/W., ul. Drzymały 36. Telefon 739.
Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.
Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch“ Poznań, ul. Kantaka 8-9.
P. K. O. V-11831/110. Prenumerata miesięczna 2,80 zł, kwartalna 8,40 zł.
Tłoczono w Włkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 936 — 6. 51.
K-2 — 15209 — 21. 7. 51. Druk ukończono 25. 7. 51.